



Newsweek SPOŁECZEŃSTWO

ROZMOWA Z MIKOŁAJEM GRABOWSKIM

REWOLUCJA NIEWOLNIKÓW

Mamy już trzydzieści parę lat wolnego państwa, a wciąż nie potrafimy spojrzeć na Polskę i na siebie z perspektywy człowieka wolnego – mówi **PROF. MIKOŁAJ GRABOWSKI**, aktor i reżyser

ROZMAWIA DAWID KARPIUK

NEWSWEEK: Czy któryś wielki polski dramat mógłby opowiedzieć dzisiejszą Polskę?

MIKOŁAJ GRABOWSKI: Mógłby ją opowiedzieć jakiś wielki dramat dzisiaj napisany, ale nikt go nie napisał. Dlatego wciąż zwracamy się do dramatów z przeszłości, żeby opowiedziały nam współczesną Polskę. To jest przecież nienormalne, te obsesyjne ucieczki w tył, bo stamtąd przyjdą jakieś lepsze myśli. Władza też każe nam patrzeć do tyłu. To co, wciąż mamy opowiadać o sobie, patrząc za siebie? Zresztą nie ma chyba jednego dramatu, który mógłby to za nas zrobić. Osobiście radziłbym przyjrzeć się Jędrzejowi Kitowiczowi, bo to, co napisał o czasach saskich, co kształtowało nas w XVIII wieku, zdaje się szczególnie aktualne. „Opis obyczajów” nie jest co prawda dramatem, ale doskonale opisuje dramat tamtych czasów – niepozbawiony zresztą elementów komedii. Minęło dwa i pół wieku, i co? Włosy stają dęba, bo okazuje się, że mentalnie tkwimy jakby w tym samym miejscu.

A cała tradycja pańskiego pokolenia? Romantycy?**Wyspiański, który ostatnio wrócił?**

– Wszystkie dramaty romantyczne i postromantyczne – „Dziady”, „Wesele”, „Wyzwolenie” – zostały napisane w czasie niewoli i przede wszystkim z tego poziomu opisują rzeczywistość. Co z tego, że Mickiewicz buntuje się przeciw Bogu, skoro Bóg jest potrzebny tylko do tego, żeby pogonić cara? Norwid? Trudny, a poza tym niewygodny: „Nie ten ptak kała gniazdo, co je kała, lecz ten, co mówić o tym nie pozwala” – pisał. Wyspiański napisał „Wesele”, potem „Wyzwolenie” – ale to nadal dotyczyło najcięższej choroby Polaków, którą była niewolna Polska. Wszystkie nasze najlepsze, najświętsze teksty były pisane z pozycji niewolnika aspirującego do wolności. Problem polegał na tym, że nie wiadomo było, jak ją osiągnąć. Chłopi mówią swoje, inteligenci swoje. Wszyscy sobie coś wyobrażają, kłócą się, by na koniec popaść w chocholi taniec. Poprzedzony oczywiście zbiorowym oczekiwaniem na Wyzwolicieła.

Teraz też wielu czeka, aż ktoś przyjdzie i wyzwoli.

– Trudno się dziwić dawnym Polakom, że żyli obsesjami wolnościowymi. Niewola jest w stanie ludziom nieźle w głowach zamieszać. Tylko że my już mamy trzydzieści parę lat wolnego państwa, a wciąż nie potrafimy spojrzeć na Polskę i na samych siebie z perspektywy człowieka wolnego. Spójrzmy na taki XVII wiek we Francji, za czasów Moliere. Scena polityczna była areną zacieklego sporu między różnej maści katolikami, protestantami i libertynami. Spierano się o Boga i rozum, Kartezjusz mówił swoje, Pascal swoje. Stąd w „Don Juanie” Moliere Sganarel, który uznaje istnienie Boga, stwórcy wszystkiego, prowadzi zażarte dysputy z Don Juanem, którego religią jest arytmetyka. Sganarel pyta: „W coś pan przecież musi wierzyć!”. „Wierzę, że dwa razy dwa jest cztery, a cztery i cztery osiem” – odpowiada Don Juan.

I to dlatego siedemnastowieczny „Don Juan” może opowiedzieć o dzisiejszej Polsce?

– A tak. Proszę zobaczyć – od tamtego czasu cztery wieki musiały upłynąć i dopiero w zeszłym roku ludzie w Polsce wyszli na ulice i powiedzieli głośno władzy, ale także Kościołowi, czyli w jakimś sensie też Bogu: „Wypierdalać!”. Dotąd nie do pomyślenia. Takie jest nasze opóźnienie. Jesteśmy więc dopiero na początku drogi, którą Francja przerobiła już dawno temu. Nie chodzi mi o osobiste wierzenia ludzi; że jeden wierzy w Boga, a drugi nie. Chodzi o to, że procesy, które w Europie zachodziły przez cztery wieki, dotąd nas nie dotknęły. Dopiero teraz coś się zaczęło.

Czemu tak późno?

– Tak długo wierzyliśmy w swoją wielkość i wyjątkowość, aż przyszli zaborcy i nas porozbierali, i odtąd przez półtora stulecia myśleliśmy tylko o odzyskaniu niepodległości, wszystko inne

było nieistotne. Nasz romantyzm sprowadzony jedynie do wolności narodu, a nie do wolności jednostki, jak to działało się gdzie indziej, został przez to mocno zawężony. Stąd nasi romantycy – wspaniali notabene poeci – nie byli rozumiani ani w Niemczech, ani w Anglii, ani we Francji. Czas płynął, a my tkwiliśmy „przy swoim”. A jeżeli zmiany zachodziły, to robiono je za nas. Pańszczyznę znieśli Rosjanie, w zaborze pruskim – Prusacy, w Galicji – Austriacy. Reforma rolna została zrobiona rękami komunistów – Rosjan. Jeżeli my się za coś zabieramy, zazwyczaj robimy to źle. Kiedy dziś patrzę na sprawy polskie, myślę: nic od nas nie zależy. Był moment, że trochę zależało. Ale już przestało. Nie jesteśmy narodem samodzielnym, chociaż krzyczymy, że chcemy nim być. „Pierwsi w Europie!”. Może trzeba sobie uczciwie powiedzieć, że to nieprawda.

Francja przeszła rewolucję. U nas niczego takiego nie było.

– Nie wydarzyła się żadna zawierucha polityczna, w której chodziłoby o światopogląd. W której konfrontowałyby się różne spojrzenia na to, czym jest życie, kto nim kieruje, jak się w świecie odnaleźć. Zostaliśmy w kołysce XVII wieku i dotrwaliśmy w niej do wieku XXI. I nagle, kiedy próbujemy z niej wyjść, kogoś oburza, że ludzie krzyczą: „Wypierdalać”.

Pana oburza?

– A skąd. Zapatrzeni w siebie i własną historię chyba nie do końca dostrzegamy, co się dzieje dookoła. Nasz egocentryzm nie dopuszcza zrozumienia, w jakim punkcie rozwoju społecznego się znajdujemy. Fakty mówią: wszystko albo prawie wszystko było w Europie robione za nas. Myśmy palcem nie kiwnęli, tylko biadaliśmy nad swoim nieszczęsnym losem pokrzywdzonych ofiar. Zapytam, czy gdyby nie było komunistów, to polscy ziemianie sami z siebie w latach 40. zrobiliby rewolucję agrarną? Na pewno nie.

Mielibyśmy ustrój na wzór Hiszpanii Franco.

Jak się z tej kulturowej niewoli uwolnić?

– Zadaje mi pan bardzo trudne pytanie. Ja, będąc w „swoim wieku”, nie jestem już w stanie na nie odpowiedzieć. To młode pokolenie powinno dojrzeć do tego rodzaju odpowiedzi. Na razie stan rzeczy w polityce jest taki, że wróciliśmy na łono matki ojczyzny z XVIII, XIX wieku. Wznosimy w górę dawno zwietrzałe sztandary. Powtarzamy: patriotyzm, patriotyzm. Ale jaki? Czy ktoś się w ogóle rozejrzał i jasno sprecyzował, w jakim tak naprawdę kraju żyjemy? Wciąż się poruszamy w jakiejś ideologicznej mgle, pośród fantazmatów. Problem w tym, że nam, którzy przeżyliśmy komunizm, czyli niewolę, bardzo jest trudno powiedzieć, gdzie jest ta droga. Wloką się za nami tradycje wolnościowe i wciąż nam się wydaje, że ktoś chce nam tę wolność zabrać. Przecież to jest paranoja.

Mówi pan, że Polsce potrzebna jest rewolucja.

– Bo może naprawdę tak jest? Taka, która przeorze do głębi wszystkie zasoby, nasze myślenie, formy, które cały czas jak



TAK DŁUGO
WIERZYLIŚMY
W SWOJĄ WIELKOŚĆ
I WYJĄTKOWOŚĆ,
AŻ PRZYSZLI
ZABORCY I NAS
POROZBIERALI

skorupa trzymają nas w miejscu. O ile udało nam się zachować pewną tradycję demokratyczną, zbudować jakąś organizację państwa, o tyle na przykład cała sytuacja z Kościołem jest intelektualnie do przerobienia. Powinniśmy się zastanowić, czym w ogóle jest Kościół katolicki w Polsce. Dlaczego nie zrobił rachunku sumienia?

No i między innymi dlatego ludzie krzyczą: „Wypierdalać”.

– Jeden okrzyk tłumu, jedno słowo nie rozwiązuje sprawy. Ale ja się za to nie wezmę. Ja jestem wychowany w religii katolickiej, choć mam bardzo sceptyczny stosunek do religii, którą dziś proponuje nam episkopat. Lepiej to wyglądało w czasach komunistycznych. Biedny, prześladowany Kościół miał większe promieniowanie niż dzisiejszy – bogaty, złoty i wpływowy. Myślę, że rodzaj rewolty, rewolucji, światopoglądowy osąd, a nawet bunt jest nam dziś bardzo potrzebny. Podejrzewam, że coś takiego gromadzi się w ludziach, choć jeszcze nie do końca zostało wypowiedziane.

Przecież teatr potrafi rozpoznawać takie rzeczy.

Może tym się należy zająć?

– Tylko że my od ponad roku żyjemy w uśpieniu. Trudno powiedzieć, co się pod tą zastygłą lawą kryje. Teatru nie da się robić dla garstki ludzi, którzy siedzą w rękawiczkach, w maseczkach, którym na wejściu mierzy się temperaturę i każe podpisać oświadczenie, że nie są chorzy. Od razu się czują jak w więzieniu. Udało mi się zrobić w Krakowie, w Starym Teatrze, premierę opartą na listach Szymborskiej i Herberta, a w Bagateli „Rewizora”, ale te premiery niby są, ale jakby ich nie było. Nie mają przebić, wieść nie niesie się w miasto. Teatr potrzebuje żywych ludzi, spotkań, entuzjazmu, także krytyki. Dopiero wtedy jest rozmowa. Wysiłki, żeby choć ciut coś zagrać, nie mają żadnej mocy. Teatr stracił swoją moc.

A jednak dotąd potrafił złapać moment, opowiedzieć o czasach, w których żyjemy.

– Owszem, tylko dziś sami nie wiemy jeszcze, co się z nami stało. Pandemia dotknęła nas boleśnie, ale jak – tego jeszcze nikt nie wie. Żyjemy od dnia do dnia. Zachoruję czy nie? Znowu zamkną nas czy nie? Dadzą szczepionkę czy nie dadzą? Opowiadać o chaosie... Na pewno. Ale jak? Zdaliśmy sobie sprawę, że naprawdę żyjemy w globalnym świecie. Ten świat nas z jednej strony uaktywnia, a z drugiej nam zagraża. Nie wiem, jakim tekstem można by o tym opowiadać. „Dżumą” Camusa? Już chyba nie.

Może Słowacki by to jakoś wytłumaczył? Na przykład „Fantazym”.

– No ale tam nie ma ani jednej przyzwoitej postaci!

To chyba pasuje?

– Słowacki nie daje nawet promyka nadziei. „Fantazy” opisuje Polskę do cna zepsutą.

Powiedział pan kiedyś, będąc dyrektorem Starego Teatru, że jeśli jakiś młody twórca wystawi u pana „Dziady”, to pańska misja będzie wypełniona. Minęło 20 lat, czy „Dziady” mogą nam jeszcze coś ciekawego powiedzieć?

– Powiedziałem to wtedy, bo chciałem namówić młodych do zainteresowania się romantyzmem, którym wtedy nikt nie chciał się zajmować. Zresztą może i ci młodzi twórcy mieli rację. Ja

jestem z pokolenia, które romantyzm niosło na sztandarach. W latach 70. reżyser, który nie zrobił choćby jednego spektaklu romantycznego w sezonie, był uważany za miernego. Taki był wymóg, nieomal patriotyczny obowiązek. I nagle przyszło młode pokolenie, które w ogóle tych romantyków nie chciało tknąć. Może kilka lat temu Zadara, najpierw w Starym „Księdza Marka”, potem „Dziady” we Wrocławiu, ale przyszła miotła i mu ten spektakl wymiotła.

Pokolenie, do którego pan wtedy apelował, symbolicznie zaczęło się od „Bzika tropikalnego” Grzegorza Jarzyny.

Może teatr znów powinien się zaprzyjaźnić z Witkacym?

– Witkacy będzie trudnym autorem, myślę, że na razie jeszcze go nie będą ruszać.

Dlaczego? Ja ciągle mam wrażenie, że żyję w „Pożegnaniu jesieni”.

– Współczesny młody reżyser ma swojego dramaturga, który mu przerabia teksty. Czasem daje to dobry efekt, a czasem okropny. Tylko że język Witkacego jest nie do przerobienia, bo jak się zmieni jego język wypowiedzi, to co zostanie? Witkacy szalał właśnie językiem. Stan zagrożenia światowym czy swojskim totalitaryzmem jest oczywiście do opowiedzenia. Gombrowicza – tu pewnie uprzedzam pańskie pytanie – też się nie da łatwo przeinaczyć.

Uprzedził pan. Pytam, bo zastanawiam się, czy któryś ze świętych polskiej literatury nadawałby się do opowiedzenia o dylematach społeczeństwa, które spróbowało wyjścia z niewoli, ale się rozczarowało.

– Gombrowicza można grać zawsze, codziennie. Zawsze się w nim znajdzie dziurka, przez którą wejdziemy w naszą rzeczywistość. „Dzienniki” czy „Trans-Atlantyck” mają nieprawdopodobne ścieżki, które prowadzą wprost do dzisiejszego świata. Przecież Gombrowicz walczył z tym, z czym my dziś się zmagamy. Z tą schedą osiemnastowieczną. On mówi: ja jestem z epoki saskiej, śladów moich należy szukać w szlachcie XVIII wieku. Niedawno mi przypomniano, że kiedyś – 25 lat temu – robiłem w Teatrze Telewizji „Dzienniki”. Wróciłem teraz do tego, doprawiłem „Trans-Atlantykiem”, i okazało się, że to jest dalej silny pocisk, który może ranić. Gombrowicz dotkliwie pisze o „wtórności kultury naszej w stosunku do innych kultur”. I jeszcze „Ten naród bez filozofii, bez świadomej historii, intelektualnie miękki, duchowo nieśmiały”. Ale znowu wracamy do przeszłości. Powinniśmy poczekać na nową literaturę, która opowie nam obecne czasy. Przecież dotąd nie znaleźliśmy czegoś takiego. Chyba że po pandemii nikt się już literaturą dla teatru nie będzie interesował.

I co? To będzie koniec teatru?

– Koniec.

Poważnie?

– Zobaczymy, czy ludzie wrócą do teatru i z jakim entuzjazmem się przywitamy.

Myśli pan, że sytuacja polityczna, w której jesteśmy teraz, zostanie z nami na dłużej?

– Nie zostanie. Nie może. Gdyby to miał być trwały proces, to znaczy, że my nic nie rozumiemy z tego, kim jesteśmy i po co



Próba sztuki „Miny polskie” w reż. Mikołaja Grabowskiego w Teatrze Polskim w Warszawie, styczeń 2018 r.

żyjemy na świecie. To by znaczyło, że Polak nie rozumie świata, nie chce go zrozumieć, nie chce nawet poznać i przez to zrozumieć samego siebie. Że Polaka interesuje tylko to, co mu powiedzieli trzy wieki temu. A to jest za mało. Jak długo można żyć „starym”?

Cały czas żyjemy.

– I zawracamy kijem Wisłę. To widać. Ale proszę spojrzeć na twarze ludzi, którzy chodzą do telewizji i tam wygłaszają te swoje mądrości. Nikt, kto mówi, jakie to cnoty, jakie wartości są podstawą życia Polaka, nie mówi szczerze. Kolejne afery nas o tym przekonują.

A te trzydzieści parę procent wyborców?

– Oni chcą w to wierzyć. Chcą wierzyć w ten stary porządek świata, bo tak zdaje się wygodniej i bezpieczniej. Bo tak robili nasi dziadowie, nasi ojcowie. Nie przeczę, są entuzjaści cynicznie – niestety – wykorzystywani dla politycznych korzyści.

Czyli wszyscy wszystkim opowiadają bajeczki.

Czy to ma sens?

– Sytuacja niewolnika rzadko zmusza ludzi do otwarcia umysłu. Niewolnik po to jest niewolnikiem, żeby nie myśleć. Jeśli więc w nas jest krew niewolnika, jeśli nią nasiąkliśmy, to nie chcemy otwierać umysłów. Co najwyżej możemy się posłużyć uświęconą protezą – zwrócić się ku historii, którą nazwiemy wybitną, chwalebna. Lęk przed nieznanym, przed tym, że a nuż będzie jeszcze gorzej, jak otworzymy wrota przyszłości, tkwił w nas i może jeszcze tkwi.

Pańskie pokolenie też zwróciło się ku historii, ku starym tekstom.

– Robiliśmy to, bo nie mieliśmy perspektyw. Współczesność mogła być tylko jedna – marsz ku socjalistycznej szczęśliwo-

” NIE WYDARZYŁA SIĘ U NAS ŻADNA ZAWIERUCHA POLITYCZNA, W KTÓREJ CHODZIŁOBY O ŚWIATOPOGLĄD

ści. Wracaliśmy więc do przeszłości, biorąc powrót za rozwój. Otworzyć się do przodu znaczyłoby wyjść na ulice i powiedzieć: „Gomułka, wypierdalaj!”. Próbowaliśmy, ale zawsze kończyło się tak samo: przychodził nowy Gomułka. Zaczęliśmy więc uświęcać historię i przez nią budować swoją tożsamość. Tylko że to było trochę samobójcze. Bo budowaliśmy swoją tożsamość, wracając do historii, o której wiedzieliśmy, że była wcale nie taka chwalebna.

A jednak sam pan mówi, że ją uświęcaliście.

– Bo nie było innego wyjścia. Być może dopiero następuje proces wyzwiania się z niewolnictwa, a jego symbolem jest to

piękne słowo „wypierdalaj”. Może ono w końcu zabrzmi na tyle mocno, że niewolnik otworzy mózg i powie: idę do przodu, zostawiam historię. Zostawiam przeszłość. Może przyszłość jest ciekawsza!

I wtedy, jeśli ktoś jeszcze wystawi III część „Dziadów”, to wystawi ją jako dramat egzystencjalny, w którym w ogóle nie będzie Polski?

– Będzie, nie da się z niej łatwo uciec. A ja panu teraz przełączę kamerę Skype’a ze mnie na widok z okna. Widzi pan kawałek Morza Śródziemnego w Hiszpanii, piękny widok. Polski nie widać. A pan mi tu z nią przychodzi. **N**

dawid.karpiuk@newsweek.pl

PROF. MIKOŁAJ GRABOWSKI JEST REŻYSEREM
TEATRALNYM, AKTOREM, PEDAGOGIEM,
W LATACH 2002-2012 BYŁ DYREKTOREM
STAREGO TEATRU W KRAKOWIE